

# Mieczysław Hartleb

---

"Treny", Jan Kochanowski, oprac.  
Henryka Gaertnera i Stan.  
Łempickiego, Lwów 1930 : [recenzja]

---

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce  
literatury polskiej 27/1/4, 334-338

---

1930

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

### III. RECENZJE.

---

**Jan Kochanowski.** *Treny*, w opracowaniu profesorów Uniw. Jana Kazimierza—Henryka Gaertnera i Stan. Łempickiego. Okładka i ilustracje Zofji Stryjeńskiej. Lwów, Wyd. Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, 1930, str. 129.

Zakład Narodowy im. Ossolińskich z pięknym wystąpił upominkiem na zbliżające się uroczystości jubileuszowe Jana Kochanowskiego: w niezwykle starannej, wprost wytwornej edycji, wyłożono tu raz jeszcze nieśmiertelne „Treny“ czarnolaskie, dzieło, które — na naszą chlubę — bije swym nakładem wszystkie inne w Polsce, a coraz więcej pociąga uczonych i badaczy, coraz to nowego domaga się komentarza i artystycznej nawet oprawy.

Założenie obecnego wydawnictwa było słuszne, ale i bardzo trudne: dać czytającej społeczności polskiej książkę piękną, umiejętnie, uczenie objaśnioną, ale zarazem i popularną. Zespolic te trzy postulaty w jedną harmonijną całość — sprawa niełatwa; ale też wśród współpracowników widzimy nazwiska poważne i zasłużone. Główny trud wziął na swe barki St. Łempicki, który we wstępie krytyczno-literackim dał nietylko introdukcję i objaśnienia niezbędne, ale wprost monograficzną, nader cenną o „Trenach“ rozprawę. Przewodnią jej linię najczęściej objaśnia własne jego słowa: „W Trenach żyje pierwiastek ponadwiekowy, ten pierwiastek rzetelnej prawdy ludzkiego przeżycia, ludzkiego bólu i płaczu, który trwalszy jest od dramatów Troi, hołdów pruskich, czy zwycięskich triumfów dawnej, wojennej Polski. I obojętne, czy tam ktoś — zapatrzony w antyczne lub renesansowe „wzory“ — nazwie takie zdanie „romantyczną“ interpretacją Trenów“... (str. 5).

Każdy, kto choć przez mgłę ma w pamięci naszą, niezbyt bogatą literaturę o żalonym poemacie mistrza Jana — domyśli się z pewnością przeciw komu zwraca się ostrze nie zarzutu może i lekceważenia, ale rozumnej, wykwintnej polemiki. Jeśli St. Łempicki w swej interpretacji najnowszej (nawet gdy o jej chronologię chodzi), nawrócił do krytyki poromantycznej (głównie Faleńskiego),

w niczem to ująć nie przynosi ani subtelności metody, ani powadze zdobywcy naukowych. Wieleż to razy my dzisiaj (gdy o staro-wieczne utwory chodzi), po żmudnem grzebaniu się w stosach dzieł, w poetykach i całym matactwie analizy, która z latami narosła — jednak ponad tem wszystkim chwytem jakiś błysk genialny z „Literatury słowiańskiej“ Mickiewicza, gdzie kryje się tak niezmiernie bogactwo spostrzeżeń i trafnych sądów o naszym dawnym piśmiennictwie!

Nie chodzi więc tutaj o zwalczanie metody „romantycznej“, która jest zresztą pojęciem tak ogromnie rozległym i wszechstronnem; ona to staje niejednokrotnie znacznie wyżej, aniżeli sucha, bezlitosna akrybia filologiczna. Przytem dzieła naprawdę wielkie, dzieła które zostają w pamięci pokoleń i wieków — tem się odróżniają wśród natłoku wszelkiego grafomaństwa, że nie wystarczy dla nich jedna miara takiego to oświetlenia czy takiej krytyki; stosować można wszystkie, wciąż inne odkrywając tajemnice, gdy i tak istotnej tajemnicy twórczości może nawet nie odkrywamy. Prof. Lempicki zapatrzony w nurt wielkiej, czarnej rzeki i w „lasy niewesołe, cyprysowe“ — moje rozmyślenia o „Trenach“ („Nagrobek Urszulki“, 1927), postawił na przeciwnym brzegu. Ale czy słusznie? Przecie ja to pisałem, że ów poemat przedziwny, który niema sobie równego w literaturze XVI-go wieku, nietylko polskiej — „tak umiejętnie naśladował rozterkę duszy znękanej, jakby pamiętnik wierny jego [Kochanowskiego] rozmyślań bolesnych i żalu szarpiącego“ (str. 158). A potem: „...obraz przeżycia duchowego ma wszelkie cechy prawdy pospolitej i ludzkiej. W tem tkwi siła atrakcyjna i niespożytość „Trenów“; jest to tragedia codzienna, która rozgrywa się od wieków i wieki jeszcze powtarzać się będzie. Opowieść o zmarłej córeczce, w tym rozroście filozoficznym, pozostała tylko podniętą i nawiązaniem akcji bogatszej i głębszej. Urszulka podzieliła więc los Beatrice i Laury“ (str. 153—154). Tu się chyba pogodzimy: to też trochę... romantyczne.

Ale znów „pour la revanche“ pozwolę sobie zacytować słowa W. Szan. Autora, gdy o artystycznej budowie „Trenów“ pisze; staje on więc rzekomo w srogiej opozycji wobec moich tez, twierdząc, że Kochanowski „pisał Treny jako odrębne liryki żałobne, a potem, w miarę narastania ich, zaczął myśleć o cyklu“ (str. 16), gdy ja w mej skromności zaznaczyłem też przed laty o pierwszych trenach: „Są to jakgdyby luźne adnotacje poetyckie na tle śmierci Urszulki, pisane jeszcze bez myśli o większej, nicią jednej osnowy powiązanej całości“ („Nagrobek“ str. 43), a dwie trzecie dalszej pracy, to właśnie żmudne badanie, jak to poeta (słowa St. Lempickiego): „pracował nad urządzeniem tego cyklu, nad jego porządkiem, wypełnieniem luk, oprawą, początkiem i zakończeniem“ (str. 16).

Nie mamy więc tutaj obszerniejszego pola do sporu, tembardziej, że autor sam, wciąż wynosząc szczerłość i wielkość uczucia (którym nikt, na Boga, ani słowem nie przeczy!) nadmienia —

„trzecią... grupę stanowią utwory, związane z pracą świadomą nad cyklem. Zaliczyć do niej trzeba treny: I, II, XIII (nagrobek), V (inauguracja opowiadania), XIV i XV (robótki [sic] mitologiczne, i XIX (rozumowane rozwiązywanie całości, pociecha, konsolacja)“.

„O szczegółowsze oznaczenie następstwa, próżno się kusić — czytamy dalej. — A i wtem powyżej oznaczonym, niewykluczone są jakieś przesunięcia. Pewne jest również, że poeta w końcowej redakcji cyklu przeprowadzał zmiany w poszczególnych trenach (zmieniał i dodawał wiersze końcowe, nawiązywał utwory ze sobą), aby cykl zespolić, zewrzeć, jak artysta przystosowuje części mozaiki (zob. Tren I, XI, może XIII i XVII)“.

Trudno mi skąpe rozmiary recenzji, rozpychać cytatai z własnej rozprawy, w przytoczonych jednak słowach widzę, że prof. Łempicki przyjął bez sprzeciwu tak wiele moich tez, że fakt ten tylko prawdziwym jest dla mnie zaszczytem; większym — z pewnością — aniżeli, tak łaskawe i częste cytowanie mego nazwiska na rozmaitych stronicach wstępu. Tyle „pro domo sua“. Jest przytem jedna wielka zaleta, która zwięzłą monografię St. Łempickiego tak wysoko podnosi: autor jest nietylko niepospolitym znawcą naszej literatury renesansowej i kultury tego „złotego wieku“, ale ma też, bardzo doniosły w rozmyślaniach krytycznych, dar sugestywnego niemal przekonywania czytelnika; studja jego (nietylko o „Trenach“, które to mamy przed oczyma), czyta się z podziwem dla gładkości stylu i konstrukcji, ale i z rosnącą wciąż wiarą, że wszystko to jest szczerą prawdą. Zapobiegliwi kierownicy „Ossolineum“, nie mogli komentarla „Trenów“ w lepsze złożyć ręce; w innych więcej może byłoby naukowego balastu, żmudnej pracy, która szwy czasem okazuje, i mitręgi, tutaj jest więcej — uczucia. Tak pojęte wydanie arcy poematu renesansowego, tego właśnie wymagało.

Bardzo ciekawą i nową pracę „O języku Trenów“, przedstawił prof. Gaertner; na wstępie zaznacza, że to studjum „może się wydać pewnego rodzaju profanacją“ (str. 33), i bardzo słusznie „in medias res“ wkracza, wysuwając na czoło wyrażenia starszego polskiego języka, które później „stały się... rubaszniemi, a czasem wręcz gminnemi“. Przecie w nich nietylko „patyna“ odwieczna połyskuje, ale dźwięczy też jędrność i soczystość dawnego życia. (Znów zapomnieć nie mogę, że pewien „hipercriticus“, nadto subtelny, za zestawienie tych właśnie „rubaszności“ w Tr. VII, akurat okrutną mi zarzucił „profanację“!). Następnie bardzo potrzebne uwagi o istocie t. zw. samogłosek pochylonych z doskonałym zestawieniem materiału trenowego, który do niedawna jeszcze był przedmiotem sporów. Podobnie i rozmaite naloty, a raczej pozostałości gwarowe; Sz. Autor odsuwa wszelkie podejrzenia o narzucanie „Trenom“ zbyt-niej ludowości, stwierdzając, że „język Trenów jest językiem nawskróś literackim“; jeśli zaś odezwały się pewne echa ludowe, nader artystycznie wplecione, i tak rychło odkryjemy, ale są nieliczne. W ten sposób prof. Gaertner dobiega do najważniejszego wniosku, że „Treny“ właśnie pozwalają nam „wykazać ogromny postęp, który liryka

w opanowaniu środków językowego wyrazu poecie czarnoleskiemu zawdzięcza" (str. 42). Stąd po gruntownych rozważaniach fleksji i składni przejście do tropów i figur, wreszcie do „inwersyjności szyku“, które to zdobycze, młodego podówczas języka polskiego, nader dobitnie okazują przełomowe wprost znaczenie „Trenów“; tutaj istotnie „po raz pierwszy wyraziła się w języku polskim bogata psychika w sposób pełny, swobodny, wobec środków językowych władny i ich potęgi świadomy“ (str. 49).

Zbyteczną rzeczą byłoby tutaj omawianie samego tekstu, który istotnie opracowano z całą pieczołowitością. Podstawowe wydania „Trenów“, jak i uwagi słownikowe, omówiono bez wszelkiego zarzutu; natomiast dość chude objaśnienia, które opierają się przeważnie na komentarzu prof. Sinki do wydania w „Bibliotece Narodowej“, nie uwzględniając późniejszych zdobyczy trenologicznych.

Ważną natomiast jest sprawa ilustracji, które dla uzupełnienia tej niezwyklej edycji, przyjęto ze ślicznej, malarskiej stylizacji Zofji Stryjeńskiej. Sprawa dość ryzykowna i wywołać może pewne w krytyce dąsy. Mieliliśmy wprawdzie w ostatnich latach wydawnictwa jak np. „Marji“ i „Sonetów krymskich“, gdzie tekst dawny łączono z ilustracjami zupełnie nowej szkoły malarskiej; nie było tam jednak tego, zachowanego — mimo wszystko — aparatu naukowego, który znajdujemy w obecnych ossolińskich „Trenach“. Założenie tych „nagich“ wydawnictw zupełnie było jasne: niech czytelnik na dawne, znakomite w swej tradycji utwory, spojrzy przez pryzmat nowej, niekiedy wprost modernistycznej, wizji malarskiej; przeżycie estetyczne nabiera wówczas pewnej świeżości i raz jeszcze przypomina, że utwory naprawdę wielkie, wytrzymują każdą, choćby anachronistyczną (Hamleta i Makbeta niedawno przecie grano na wielkich scenach angielskich w najmodniejszych strojach!) próbę artystyczną. Ilustracje Stryjeńskiej wyrastają ponad banalny modernizm, ale również trudna z nimi sprawa.

Założeniem, z którego wyrasta sztuka tej niepospolitej artystki, jest stylizacja o zabarwieniu prymitywno-ludowym; niewątpliwie skala jej jest bogata i pełna wdzięku, ale wpada mimo to w pewną monotonię; widzimy ją od dawniejszych „panneaux“ dekoracyjnych przez Bożki słowiańskie i Piastów aż do — proszę mi wybaczyć — najzupełniej nieudanej pseudo-polichromji na warszawskim Starem Mieście. Tutaj, może nawet nieświadomie, Zofja Stryjeńska jest następczynią Wyspiańskiego, który szczególnie sobie upodobał prymityw ludowy i widział w nim okrucz zachowany dawnej, bajecznej Polski. (Por. np. jego kostjomy do postaci „Legendy“ ze zbiorów Włodz. Żuławskiego, publikowane w „Maskach“ w 1918 r.). Wyspiański wprowadził pewien typ pięknie szarmonizowany z dawnością słowiańską; ale tutaj, gdy już tak mocno wkraczamy w czasy renesansowe, stylizacja ta wyda się pewnym anachronizmem. Jeśli prof. Gaertner słusznie odpiera podejrzenia o zbyt silnym napływie pierwiastków ludowych do „Trenów“, to dziwną się wyda taka np. kompozycja do tr. XIX, gdy Pani Kochanowska jak Madonna —

„cudowne widmo w obręczy z płomyków“ — zjawia się śpiącemu synowi. Stylizacja — doskonała i prymityw aż nadto widoczny, ale zapytamy się wówczas, czy — według założenia pani Stryjeńskiej, tak uzmysłowił się ma własna wizja poety, w wiersze heksametryczne przelana w trenie XIX, czy też ma to być, w kształty malarzkie przemienione, przeżycie plastyczne dzisiejszego czytelnika wobec odległego w XVI wieku „prymitywu“ poetyckiego?

Ani jedno, ani drugie nie trafia celu. Kochanowski, któremu w czasie włoskiej perygrynacji, przewinął się przed oczyma świetny i wszelkimi bogactwami połyskujący korowód dzieł renesansowych — nie takimi chyba oczyma patrzył na swe wizje wyśnione; zestawienie kunsztowności, niekiedy wprost przepychu jego porównań obrazowych, niezawodnie to stwierdzi. Nie miał głębszego odczucia dla sztuk plastycznych — to pewne, ale wynajdziemy przecie jakieś wspominki ze szkoły ferraryjsko-weneckiej tych zmierzających lat odrodzenia. Znajdzie się tam Girolamo de Carpi, Giovanni Dossi, Benvenuto Tisi, zwany „Garofalo“, a może i Corregio; przedewszystkiem jednak w pół-barokowy już i teatralny w swych kompozycjach mitologicznych — Tycjan. Inaczej więc pewno kształtował swe imaginowane obrazy sam poeta, inaczej też my dziś, czytając renesansowe „Treny“, bujnością barokową mocno ozdobię, wyobrażamy sobie ich plastyczną realizację.

Ale to wszystko w niczem nie umniejsza inwencji i wdzięku obrazów Stryjeńskiej; niektóre z nich są wprost czarujące. Tak np. Urszulka wśród słowików na okręgu tęczy (do Tr. X), lub gdy córeczka ukochana schodzi do modlącego się ojca (Tr. III) — to dzieła przesłiczne i subtelne; tylko, że nie godzą się one z całością wydawnictwa, opartego na przystępnych, ale bardzo solidnych zasadach komentarza naukowego. Jedynie gładka i miła „Parabaza“ pióra prof. Łempickiego, nie kłóci się z tą oprawą ilustracyjną; jest tak samo w pół-poetyckiem przemyśleniem trenowych motywów i wielkiej ojca boleści. Dlatego przypomina się nam z również jubileuszowego Słowackiego roku 1909 — wydanie „Ojca Zadźmionych“ z omówieniem i podobnąż parabazą ks. Biskupa Bandurskiego, a ilustracjami Rossowskiego. Pocziwie to było i pełne serdecznego uczucia. Ale jakże daleko pod każdym wydawniczym względem poszliśmy naprzód wyżej!

„Treny“, obecnie przez Ossolineum wydane, są książką naprawdę piękną, i taką na długie lata zostaną.

*Mieczysław Hartleb.*

**Kochanowski Jan.** Odprawa posłów greckich... Podana na Theatrum przed Królem Jego Mścią y Krolową Jey Mścią w Jazdowie nad Warszawą. Dnia dwunastego stycznia Roku Pańskiego MDLXXVIII na feście u Jego Mści Pana Podkanclerzego Koronnego w Warszawie MDLXXVIII.

Wierny swej pięknej tradycji, która nakazuje wziąć udział w każdym, poważnem święcie naukowem, Zakład Narodowy im.